

Biegański to prymitywny nacjonalista, antysemita, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, który podczas II wojny światowej wspiera nazistów, potem zaś sam ginie w obozie koncentracyjnym. Shylock to chciwy Żyd, który żyje z lichwy i dla pieniędzy gotów jest człowieka poćwiartować. Pierwszy był bohaterem powieści Williama Styrona „Wybór Zofii”, drugi pojawia się w „Kupcu weneckim” Szekspira. Obaj służą za pojemne metafory autorce książki „Biegański – The Brute Polak Stereotype, Its Role in Polish-Jewish Relations and American Popular Culture” („Biegański – stereotyp brutalnego Polaka i jego rola w stosunkach polsko-żydowskich oraz amerykańskiej kulturze masowej”). Danusha V. Goska, Amerykanka polskiego pochodzenia, która wykłada literaturę na Uniwersytecie Williama Patersona w New Jersey, zastanawia się w niej, skąd biorą się etniczne stereotypy – antypolskie, ale nie tylko – i dlaczego tak wielka jest siła ich oddziaływania.

Spocony nieantysemita

Poszukując odpowiedzi, autorka odwołuje się m.in. do prac amerykańskiego semantyk-kognitywisty, George’a Lakoffa, który badał, w jaki sposób ludzie definiują pojęcia. Jego zdaniem w procesie kategoryzacji uciekamy się do uproszczeń, a jedno z najważniejszych polega na tym, że cechy najbardziej prototypowych elementów danej kategorii niejako z rozpędu przypisujemy wszystkim pozostałym.

Zarówno Biegański, jak Shylock powstały w wyniku takich uproszczeń. Biegański jest uosobieniem prymitywnego Polaka – głupiego pieniacza, anarchisty, brudasa, wykazującego fizyczną teźyznę i chętnie odwołującego się do przemocy prostaka, któremu brak wykształcenia i który przypomina zwierzę. Shylock zaś uosabia sprytnego i przebiegłego Żyda, czytane go, obytego w świecie, wykazującego nieprzeciętną inteligencję, ale dość chlerlawego i słabego. Pierwszy jest biedny i pochodzi ze wsi. Drugi bogaty i mieszka w mieście. Obaj są przerysowanymi, fikcyjnymi postaciami, które powstały w wyniku owej ludzkiej skłonności, by cechy prototypu przypisywać *en masse* całej kategorii. To ona sprawia, że dla wielu Amerykanów skojarzenie jest niemal automatyczne: Polak = antysemita = chłop, pijak, prymityw.

Goska nie przeczy, że antysemityzm istnieje, i nie próbuje go usprawiedliwiać. Nalega jednak, by nazywać rzeczy po imieniu – antysemityzm oskarżać o to, że są antysemitytami, nie zaś członkami jakiejś grupy etnicznej czy klasy społecznej. Takie stereotypy – przekonuje – nie tylko są niesprawiedliwe i krzywdzące w stosunku do spoconych robotników niebędących antysemitytami. Uniemożliwiają również rzeczową dyskusję. Kwitowanie każdego przypadku wrogości wobec Żydów stwierdzeniem: „Ach, to ci okropni, prymitywni Polacy” oznacza, że nie próbuje się zrozumieć okoliczności, które do takich zachowań prowadzą. Bez tego zaś trudno z nimi walczyć.

Coś w rodzaju Polaka

Goska analizuje przykłady funkcjonowania tych stereotypów w amerykańskiej kulturze i mediach. Pisze o popularnych w USA dowcipach, w których Polacy niezmiennie jawią się jako nieudacznicy lub idioci („Ilu Polaków potrzeba, by zmienić żarówkę? Piętnastu; jeden wchodzi na drabinę, a czternastu obraca ją dookoła”). Jeden z rozdziałów „Biegańskiego...” poświęcony jest filmom: Goska omawia hollywoodzkie produkcje – m.in. nakręcony na podstawie sztuki Tennessee Williamsa „Tramwaj zwany pożądaniem” czy „Łowcę jeleni” Michaela Cimino – by zauważyć, że nawet gdy pojawiają się w rolach drugoplanowych, Polacy



ANDRZEJ BOGACZ / FORUM

Widok z Greenpointu na Manhattan, listopad 2009 r.

Ci okropni Polacy

Dlaczego w amerykańskich dowcipach do wkręcenia jednej żarówki potrzeba piętnastu naszych rodaków, a w przekazie medialnym Polak często równa się antysemita? W USA ukazała się ważna publikacja o źródłach antypolonizmu.

MAGDALENA RITTENHOUSE

niemal zawsze występują tam jako postaci budzące niechęć czy wręcz odrazę widzów.

Goska pisze też o zrealizowanym przez brytyjskiego komika Sachę Cohena filmie „Borat”, który kilka lat temu bił w Stanach rekordy popularności. Choć tytułowy Borat pochodził rzekomo z Kazachstanu, mówił po polsku i niemal wszyscy – zarówno krytycy, jak zwykli widzowie – widzieli w nim przede wszystkim Polaka, kwintesencję Europy Wschodniej: zacofanej, śmiesznej, prymitywnej (wielu Amerykanom owa Europa Wschodnia jawi się zresztą jako jednolity twór: „Czech? To coś w rodzaju Polaka?” – zauważa jeden z rozmówców Goski). Nieliczni krytycy – m.in. John Tierney z „New York Timesa”, zwracali uwagę, że ów film jest „nową globalną wersją dowcipów o Polakach” i że Borat, który myje twarz w misce klozetowej, masturbuje się w biały dzień na ulicach Manhattanu oraz chwali się uprawianiem seksu z własną siostrą, „najlepszą prostytutką w kraju”, jest po prostu absurdalną karykaturą. „Ale ów film nikogo by nie śmieszył – pisał Tierney – gdyby nie prze-

konanie, że w stereotypie zacofanego moralnie chłopa jest ziarno prawdy”.

Wygodne uspokojenie

Czy do stworzenia takiego stereotypu Polaka przyczynił się Holocaust? To kuszące wyjaśnienie, ale „Biegański” pojawił się w Ameryce znacznie wcześniej. Goska przybliżyła czytelnikom historię emigracji do Stanów Zjednoczonych. Zwraca uwagę, że pierwsi przybysze z Europy pochodzili w większości z protestanckiej Północy. Byli wykształceni i najczęściej to nie bieda pchała ich do USA.

Sytuacja zmieniła się w XIX w. Uciekający przed głodem Irlandczycy, Włosi czy Polacy byli w większości ludźmi słabo wykształconymi. Wielu pochodziło ze wsi. Ameryka, która właśnie zaczynała rozwijać swój przemysł, witała ich już nie jako znakomych wolności bohaterów, ale przede wszystkim jako tanią siłę roboczą. To właśnie wówczas stereotypowy Polak z romantycznego rycerza walczącego o wolność przeobraził się w niewykształconego katolika, brudnego, prymitywnego chłopa, a potem robotnika, który przypominał dziką bestię i którego czym prędzej należało ucivilizować.

Holocaust i II wojna światowa nie przyczyniły się więc do powstania tego stereotypu, choć z pewnością go umocniły. Z kilku powodów – przekonuje Goska. Po pierwsze dlatego, że naturalną ludzką potrzebą było zdystansowanie się od tak wielkiej zbrodni. Przyjęcie do wiadomości, że to „ludzie ludziom zgotowali ten los” – skonfrontowanie się z pytaniem: „jak ja zachowałbym się w takich okolicznościach?” – jest znacznie trudniejsze niż skonstatowanie, że z tymi, którzy dopuścili się zbrodni, nie mamy absolutnie nic wspólnego.

Wielu Amerykanom, zwłaszcza jeśli odczuwali wyrzuty sumienia z powodu własnej bezczynności, „Biegański” dostarczał wygodnego uspokojenia: był istotą niższej kategorii, kimś zupełnie innym niż oni. Aby zapobiec powtórzeniu się podobnych tragedii w przyszłości, nie

trzeba zmieniać własnego postępowania – wystarczy rozprawić się z „Biegańskim”: potępić go, odizolować, reedukować.

Stereotypami nie rządzą logika. Są odporne na fakty, zauważa Goska, szukając odpowiedzi na pytanie, dlaczego w pojęciu wielu Amerykanów to przede wszystkim Polacy, nie zaś Niemcy czy naziści, ponoszą odpowiedzialność za Holocaust. Jej zdaniem przyczyniła się do tego zimnowojenna geopolityka. To ona sprawiła, że po 1945 r. dotychczasowi sojusznicy (Rosjanie i wrzuceni z nimi do jednego worka mieszkańcy Europy Wschodniej) niemal z dnia na dzień stali się wrogami, zaś niedawni wrogowie, Niemcy – przyjaciółmi. Goska przypomina, że już na początku 1945 r. tygodnik „Time”, pisząc o wyzwalaniu obozów koncentracyjnych, zwracał uwagę, że zbrodni dokonali nie Niemcy, lecz naziści. Był to początek sprawnej i skutecznej akcji propagandowej. Polacy stali się jej kozłami ofiarnymi.

◆◆◆
Jako Polka mieszkająca w Stanach, mająca tu rodzinę, przyjaciół i na co dzień znacznie częściej spotykająca się z zyczliwością niż z niechęcią, zastanawiałam się wielokrotnie podczas lektury „Biegańskiego...”, czy postawy, o których pisze Goska, nie zostały wyolbrzymione? Czy rzeczywiście Polacy w USA cieszą się tak złą reputacją?

To coś, co szalenie trudno zmierzyć. Książek, artykułów czy opracowań dotyczących polskiego antysemityzmu publikuje się w Stanach mnóstwo. Antypolonizm, na którym skupia się Goska, to temat, o którym mówi się rzadko albo wcale. „Biegański...” wypełnia więc ważną lukę, i to z pewnością zaleta jej książki. Mimo emocjonalnego chwilami tonu Goska zachęca do precyzji i intelektualnej dyscypliny: kwestionowania myślowych przyzwyczajzeń, skrótów, niedokładności. To pierwszy krok w pokonywaniu stereotypów – antypolskich i wszelkich innych. ◆

MAGDALENA RITTENHOUSE: Skąd wziął się pomysł na „Biegańskiego...”?

DANUSHA V. GOSKA: Dorastałam w niewielkim robotniczym miasteczku New Jersey, w którym mieszkali wspólnie Chińczycy, Filipińczycy, Portorykańczycy, Żydzi, Polacy, Włosi, Irlandczycy. Moi rodzice mieli za przyjaciół Żydów, ja miałam chłopaków i nigdy nie przychodziło mi do głowy, że Polacy mają być antysemitami. Dopiero gdy w 1987 r. wyjechałam na stypendium Fundacji Kościuszkowskiej do Polski, zobaczyłam, że między Polakami i Żydami istnieje mnóstwo animozji. Uniwersyteccy profesorowie skakali sobie do gardeł.

Wkrótce potem rozpoczęłam studia doktoranckie w Instytucie Folkloru przy Indiana University w Bloomington. Tak się złożyło, że podczas pierwszego semestru poważnie zachorowałam. Unieruchomiona, całymi dniami słuchałam radia i oglądałam telewizję. I nagle dotarło do mnie, jak bardzo negatywne nastawienie do Polaków mają amerykańskie media, jak wiele jest stereotypów. Postanowiłam temu poświęcić pracę doktorską. Wszyscy dookoła mówili, że postradałam zmysły: jeśli jako Polka i katoliczka napiszę pracę o antypolskich stereotypach, mogę zapomnieć o karierze akademickiej.

Pracuje Pani na uczelni, ale przez 8 lat nie mogła Pani znaleźć wydawcy dla książki.

Tak, rozmaite wydawnictwa zgłaszały zainteresowanie – podobał im się kontrowersyjny temat, mówili, że jest dobrze napisana – po czym dochodzili do wniosku, że nie mogą jej wydać. W 2009 r. książkę chciał opublikować cieszący się renomą uniwersytet o katolickich korzeniach, ale zrezygnował, argumentując, że może to narazić na szwank jego stosunki ze wspólnotą żydowską. Poparł mnie m.in. Antony Polonsky – szanowany naukowiec żydowskiego pochodzenia – ale nie uśmierzyło to obaw, bo jego nazwisko i wygląd były zbyt polskie.

Na amerykańskich uczelniach istnieje poczucie, że Polakom i katolikom pewnych rzeczy mówić nie wolno. „Biegański” to poręczny scenariusz, który zdominował zarówno akademicki, jak i kulturowy dyskurs.

W książce proponuje Pani, by ów scenariusz zastąpić teorią, która na uprzedzenia wobec mniejszości etnicznych patrzy m.in. przez pryzmat ekonomii.

Autorką tej teorii jest Edna Bonacich, socjolog i etnograf, której ojciec zresztą był szanowanym rabinem. Bonacich zajmowała się problemami rasowymi i klasowymi. Przyglądając się emigrantom w Los Angeles, zauważyła, że wielu z nich ma trudności z wejściem na istniejący rynek pracy, w związku z czym próbuje otwierać własny biznes. Ponieważ jako cudzoziemcy mają poczucie tymczasowości i nie chcą zarażać kapitału, uciekają się do określonego typu zajęć – handlu czy bankowości. To często budzi niechęć. Potęguje ją fakt, że członkowie owych mniejszości są najczęściej wobec siebie solidarni. Miejscowi mają poczucie, że próbują ich wykorzystać i że nie są wobec nich lojalni.

Teoria Bonacich odnosiła się do Koreańczyków w Kalifornii. Dlaczego, Pani zdaniem, można ją odnieść do antysemityzmu i sytuacji Żydów w Polsce?

Ta teoria odnosi się do najrozmaitszych grup etnicznych w różnych miejscach świata: Hindusów w Ugandzie, Chińczyków w Tajlandii, Japończyków w obu Amerykach. Bonacich pokazuje, że te mniejszości często spotykają się z wrogim nastawieniem czy wręcz przemocą.

W 2003 r. Amy Chua, profesor na wydziale prawa Uniwersytetu Yale, opublikowała książkę „World on Fire”, w której doszła do podobnych wniosków. Zajmowała się wpływem globalizacji i wolnorynkowych reform na sytuację mniejszości etnicznych w kilku krajach Azji, m.in.

Słoń a sprawa polska



AMANDA COONEY

Danusha V. Goska: Wszyscy dookoła mówili, że postradałam zmysły: jeśli jako Polka i katoliczka napiszę pracę o antypolskich stereotypach, mogę zapomnieć o karierze akademickiej.

Indonezji, gdzie w 1998 r. miały miejsce ostre protesty. Zauważyła, że często, gdy dochodzi do demokratycznych zmian, etniczna mniejszość, która dotychczas kontrolowała pewne segmenty rynku – np. Chińczycy na Filipinach czy w Indonezji – staje się obiektem ataków ze strony biedniejszej reszty społeczeństwa.

„Gdybyż oni zajęli się jakąś pożyteczną pracą, tak jak my; gdyby robili coś oprócz sprzedawania towarów po zawyżonych cenach, nie traktowalibyśmy ich jak wrogów” – to słowa, które o Azjatach w Kenii wypowiedział jeden z polityków tego kraju. A brzmia, jakby ktoś skopował ulotkę polskiego antysemitę.

Oskarżano Panią o antysemityzm?

Spotykałam się z takimi zarzutami. Ale antysemityzm to postawa, która głosi, że Żydzi różnią się w jakiś istotny sposób od innych grup etnicznych. A Bonacich i Chua mówią coś odwrotnego: to nie kwestia etnicznej czy religijnej przynależności, ale społeczne czy ekonomiczne uwarunkowania sprawiają, że jakaś grupa spotyka się z wrogością.

O tych prawidłowościach wspomina zresztą wielu historyków, choćby Aleksander Hertz czy Norman Davies, których trudno posądzić o antysemityzm.

W kontekście ostatniej książki Jana Tomasa Grossa to, co Pani mówi, może być postrzegane jako próba wybielania Polaków.

Próba zrozumienia, skąd się biorą pewne ohydne postawy i w jakich okolicznościach mogą doprowadzić do tragedii, nie ma nic wspólnego z usprawiedliwianiem. W pierwszym rozdziale „Biegańskiego...” stwierdzam kategorycznie: nie ma żadnego usprawiedliwienia dla tych, którzy popełnili zbrodnie. Jeśli są winni, to niezależnie, czy stało się to w Kielcach, czy w Dżakarcie, powinni zostać pociągnięci do odpowiedzialności. Nie czytałam najnowszej książki Grossa, ale wierzę głęboko, że o tym, co zaszło w Jedwabnem albo w Kielcach, trzeba było powiedzieć. Jako Polacy i chrześcijanie musimy się z tą prawdą zmierzyć, nawet jeśli jest bolesna.

Odczuwam wielki podziw dla Amy Chua, której inspiracji do badań dostarczyła historia jej filipińskiej rodziny. Jej ciotka, przedstawicielka chińskiej mniejszości w tym kraju, została zamordowana przez własnego szofera. Mimo to, opisując protesty na Filipinach czy w Indonezji, nie pisała, że filipińscy katolicy czy indonezyjscy muzułmanie nienawidzą buddystów czy chińskich wyznawców konfucjanizmu. Zamiast tego informowała amerykańskich czytelników, że Chińczycy, choć stanowią zaledwie 1-2 proc. ludności Filipin, kontrolują niewspółmiernie dużą część zasobów tego kraju. I wywierają ogromny wpływ na gospodarkę. Zachęcała Amerykanów, by spróbowali sobie wyobrazić, jak by się czuli, gdyby wszyscy miliarderzy z firmy Microsoft byli Chińczykami, podczas gdy 3/4 społeczeństwa żyje w totalnej nędzy.

Chua przekonywała, że w takich warunkach niechęć do mniejszości jest czymś łatwym do przewidzenia. Gross pisząc o atakach na Żydów w Polsce, pomija kontekst: nie wspomina, że do podobnych zjawisk dochodziło gdzie indziej na świecie.

A dlaczego, Pani zdaniem, powinien?

Bo może gdybyśmy byli tego świadomi, świat mógłby być trochę lepszy? Bo chcielibyśmy zrozumieć rodzaj ludzki. Polacy i Żydzi są fascynujący, ale na naszej planecie mieszka 7 mld ludzi. Dorastałam w okresie wojny wietnamskiej, słyszeliśmy w wieczornych wiadomościach o masakrze w My Lai, o tym, jak amerykańscy żołnierze zabijali niemowlęta. Dlaczego? Jak do tego doszło?

Dlaczego negatywny stereotyp Polaka jest w Stanach tak głęboko zakorzeniony?

Polonia w Stanach nie rozgrywa różnych spraw tak dobrze jak inne grupy etniczne. Irlandczycy czy Włosi są doskonale zorganizowani i jeśli pojawiają się jakieś negatywne zjawiska – natychmiast reagują. Nie mówiąc o Afroamerykanach. Za doskonały przykład może służyć reakcja na film wyprodukowany w latach 40. przez Walta Disneya „Song of the South”. Słyszała pani o nim?

Nie.

No właśnie. To miał być przełomowy film, w którym po raz pierwszy pokazano Czarnych w pozytywnych rolach. Ale Afroamerykanie, oburzeni tym, że ludzie żyjących na Południu w czasach niewolnictwa przedstawiano jako szczęśliwych, doprowadzili do tego, że nie wszedł na ekrany. Nie można go nawet kupić w Amazonie. Odstawiono go na półkę, bo Afroamerykanie uważali, że jego przesłanie nie jest właściwe. Tymczasem w amerykańskich szkołach dzieci uczą się o Holokauście z komiksu, w którym Polacy są świniami, i nikt nic w tej sprawie nie robi.

Ma Pani na myśli „Maus” Arta Spiegelmana, w którym opisuje on wojenne doświadczenia swojej rodziny w Europie? Niemcy są w nim kotami, a Żydzi myszami. Czytałam wywiad, w którym wyjaśniał, że Polacy pojawiają się jako świny, bo nie biorą udziału w polowaniu kotów na my-

Polonia w Stanach nie rozgrywa różnych spraw tak dobrze jak inne grupy etniczne. Irlandczycy czy Włosi są doskonale zorganizowani i jeśli pojawiają się jakieś negatywne zjawiska – natychmiast reagują. Nie mówiąc o Afroamerykanach.

szy i są niekoszerni. Wielu ludzi, nie tylko Polacy, było oburzonych faktem, że podejmując tak trudny temat, Spiegelman uciekł się do niepoważnej formy. Ale jest artystą – doskonałym zresztą – więc ma do tego prawo.

Tak, jest doskonałym artystą. Goebbels też był. Propaganda najczęściej jest piękna, doskonale opakowana. Inaczej nie byłaby skuteczna.

Coraz częściej natrafiamy na petycje adresowane do amerykańskich mediów, w których protestuje się przeciw używaniu terminu „polskie obozy koncentracyjne”. Takie działania mogą być skuteczne?

W pewnym zakresie. Kilka redakcji, m.in. „Wall Street Journal”, wprowadziło już stosowne instrukcje dla dziennikarzy. [W jego ślady poszły inne redakcje, m.in. New York Times – red.] Ale to oczywiście nie wystarczy. W Stanach brak silnego polskiego lobby, które byłoby w stanie oddziaływać na życie kulturalne, na politykę. Powinniśmy być bardziej konsekwentni, lepiej zorganizowani. Są pieniądze. Nie brak ludzi, którzy odnieśli sukcesy, choćby Martha Stewart, Barbara Piasecka czy Zbigniew Brzeziński. Ale potrzebna jest organizacja. Ponad wszelką wątpliwość powinniśmy próbować wpływać na programy szkolne.

Co miała Pani nadzieję osiągnąć pisząc „Biegańskiego...”?

W amerykańskim angielskim mamy określenie „słoń w pokoju”. Odnosi się do jakiejś oczywistej prawdy, o której nikt nie ma odwagi mówić. Mimo że słońca w pokoju nie sposób przeoczyć, nikt go nie zauważa. Wszyscy zajmują się innymi sprawami. I udają, że go tam nie ma.

Gdy jakieś oczywiste prawdy są konsekwentnie przemilczane, prowadzi to do napięcia i wrogości. Jeśli ci, których społeczną rolą jest nazywanie rzeczy po imieniu – naukowcy, dziennikarze, pisarze, przywódcy religijni – uchylają się od tego trudnego obowiązku, reszta społeczeństwa traci do nich zaufanie. Czują, że zostali zdradzeni czy oszukani, a cały publiczny dyskurs jawi im się jako coś bezwartościowego, bez znaczenia. Z czymś takim mieliśmy do czynienia w czasach komunizmu i czegoś podobnego doświadczają dziś moi studenci: mają poczucie, że polityczna poprawność jest swego rodzaju kagańcem, która uniemożliwia uczciwą dyskusję. To niebezpieczne. Ci, którzy czują się zdradzeni przez swoich profesorów czy media, często wpadają w sidła demagogów. Wielu moich studentów wierzy w najrozmaitsze teorie spiskowe.

Sprawdzanie polsko-żydowskich stosunków do uproszczonego scenariusza, jaki oferuje „Biegański”, też jest niebezpieczne i szkodliwe. To młyn na wodę fanatyków i demagogów. ◆

ROZMAWIAŁA MAGDALENA RITTENHOUSE

→ DANUSHA V. GOSKA jest pisarką, poetką i wykładowcą literatury na Uniwersytecie Williama Patersona w New Jersey. Wydany nakładem Academic Studies Press w Bostonie „Biegański...” został uznany przez Polsko-Amerykańskie Towarzystwo Historyczne za najlepszą książkę 2010 r.